

MONIKA KNAPCZYK

WIEŻA
ZAPOMNIENIA
I INNE OPOWIADANIA





MONIKA KNAPCZYK

WIEŻA
ZAPOMNIENIA
I INNE OPOWIADANIA

Copyright © Monika Knapczyk, 2018

Copyright © Wydawnictwo Inspiracje, 2018

Okładka © Monika Knapczyk

Zdjęcie na okładce © Dlee / Pixabay.com

Redakcja i skład: Monika Knapczyk

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

ISBN 978-83-953104-0-9

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Wydawnictwo Inspiracje



Puławy 2018

www.mojeinspiracje2017.blogspot.com

moje.inspiracje.2017@gmail.com

Opowiadania zawarte w tym zbiorze zawierają liczne motywy autobiograficzne, i z tego względu powstała we mnie obawa, że niektóre osoby mogą poczuć się niemile zaskoczone lub wręcz urażone ich treścią. Będąc przygotowaną na taką ewentualność, pragnęłabym je w tym miejscu z góry najmocniej przeprosić i zapewnić, że książka nie ma na celu ugodzenia w kogośkolwiek. Stanowi ona formę rozrachunku z moim dotychczasowym życiem, która była w owym czasie silną potrzebą serca, lecz ten nurt pisania z pewnością nie będzie już tak wyraźny w mojej przyszłej pracy twórczej.

Miałam i nadal mam wiele wątpliwości, czy te teksty w ogóle powinny ujrzeć światło dzienne. Ostatecznie podjęłam decyzję o ich publikacji, która wymaga ode mnie naprawdę dużej odwagi. Gorąco upraszam więc wspomniane wyżej osoby o uwzględnienie tego faktu podczas lektury zbioru.

Autorka

WIEŻA ZAPOMNIENIA

Stromą i kamienistą ścieżką wspinał się w upale samotny wędrowiec. Niósł przewieszoną przez ramię prawie pustą sakwę, a jego twarz ocieniało szerokie rondo kapelusza. Pielgrzym był niskiego wzrostu i odznaczał się zadziwiająco drobną posturą. Jego strój, składający się z lnianej koszuli i spodni, był stary i wypłowiwały od słońca. Workowata odzież starannie kryła szczupłą sylwetkę, podsuwając jednocześnie nieodpartą myśl, iż osobnik ten prezentowałby się lepiej w zupełnie innej garderobie.

Wędrowiec ostrożnie stawiał stopy, starając się nie strącić któregoś z luźno leżących na ścieżce kamieni. Przez niemal całą drogę podpierał się kijem, ale teraz potrzebował obu rąk, by przytrzymać się na stromiźnie. Odrzucił więc bez żalu jedyne towarzysza podróży, wiedząc, że wkrótce nie będzie go w ogóle potrzebował.

W okolicy trwała niczym nie zmałowana cisza. W promieniu wielu metrów nie widać było żywego ducha, wliczając w to zwierzęta, które rzadko zawędrowywały na takie wysokości. Mógłby natknąć się co najwyżej na świstaka lub kozicę, ale nawet one trzymały się z daleka od tego miejsca. Dawno minął zalesione piętra i teraz poruszał się po gołej, przyozdobionej tylko mchami i porostami turni. Pogoda była słoneczna i niemal bezwietrzna, a głęboki, czysty lazur nieba przyprawiał o zawrót głowy.

A raczej przyprawiałby kiedyś. Bo dziś pielgrzymowi było wszystko jedno. Blask słońca w ogóle go nie cieszył, za to lejący się z wysoka żar ogromnie męczył. Niecierpliwie czekał więc na zmianę pogody, na litościwą pierzynę chmur, która przyniesie trochę chłodu. A może przydałby się nawet lekki deszczyk.

Znów pomyślał z goryczą, że jego życie nie zawsze było takie. A potem...

Nie było już jasności, bo wszędzie zapanował mrok. Pustka pożarła bogactwo, a nigdziejsza paleta barw stała się polem jednolitej szarości. Nie było już świtów ani zmierzchów, nie było słonecznych dni ani gwiaździstych nocy. Kwiaty przestały pachnieć, a ptaki przestały śpiewać. Dzieci wciąż się śmiały, lecz ich radość była dla niego czymś niepojętym.

Gdziekolwiek poszedł, był obcy. W każdym miejscu był tylko przechodniem i nigdzie nie miał nic swojego. Nie wiedział, gdzie jest jego serce. A czas, dawny przyjaciel, stał się jego najgorszym wrogiem.

Nie umiał cieszyć się ani płakać. Był jak wydrążona w środku skorupa, żywy tylko na pozór. Nie bał się rozpacz, ale nie znał też szczęścia. Donikąd już nie zdążał, bo wszędzie drwiła z niego ta sama pustka.

Świat niczego nie zauważył, bo świat widzi tylko to, co cielesne.

I wtedy pojął, że musi wyruszyć w tę jedną, najpotrzebniejszą drogę.

* * *

Wędrowiec dotarł wreszcie na szczyt góry. Przez chwilę stał bez ruchu, uspokajając przyspieszony oddech. Następnie przyjrzał się uważnie miejscu, w które trafił. Miał przed sobą nie ostry szpic, tak charakterystyczny dla wysokogórskiego krajobrazu, lecz płaski i dość rozległy teren, po którym człowiek mógł się bezpiecznie poruszać. Ale najważniejsza była oczywiście wieża, na której widok pielgrzym aż wstrzymał na krótki czas oddech. Bo to ona była celem jego podróży, to tutaj zamierzał zadać swoje pytania i uzyskać odpowiedzi.

Okrągła kamienna wieża wznosiła się w północnej części płaskowyżu, niemal wisząc nad otchłanią. Sylwetka budowli była strzelista i smukła. Do wnętrza prowadziły tylko jedne żelazne drzwi, umieszczone na wysokości jakichś czterech metrów nad poziomem gruntu. Można się było do nich dostać, pokonując strome, kamienne stopnie bez zabezpieczającej balustrady. Wyżej wędrowiec

dostrzegł kilka małych okienek, wskazujących na obecność pomieszczeń, a na samej górze taras, osłonięty spadzistym drewnianym dachem. Całość robiła swoją surowością raczej przygnębiające niż radosne wrażenie. Przybysz wiedział już jednakże, że nie wolno sądzić żadnej rzeczy po pozorach.

Poczuł niespodziewanie przenikliwy wiatr, wciskający się pod lekkie ubranie. Odruchowo spojrział w górę i zobaczył, że pogoda rzeczywiście niepostrzeżenie się zmieniła. Chmury zasnuły szczelnie całe niebo, jakby zbierało się na deszcz, chociaż na razie nie padało. Od razu zrobiło się dużo chłodniej, lecz ulga trwała krótko, bo bardzo prędko zaczął drzeć z zimna.

Nagle, pomimo chłodu, wędrowiec zdecydowanym ruchem zdarł z głowy kapelusz. Wysypały się spod niego długie, czarne włosy, i opadły miękko na szczupłe ramiona. Bo pielgrzym był kobietą.

Żelazne odrzwia wieży zaskrzypiały, a następnie otwały się powoli na całą szerokość. Ukazała się w nich niezwykła postać. Przybyła patrzyła zafascynowana, jak starzec schodzi majestatycznym krokiem po schodach, podtrzymując jedną sękatą dłonią długie szaty, a potem zbliża się do niej. Mogła już przyjrzeć się jego białym włosom i opadającej na piersi brodzie, pooranej zmarszczkami twarzy i bladobłękitnym oczom, których spojrzenie było zadziwiająco bystre i młode. Obszerny płaszcz starca był koloru ciemnognatowego, z gwiazdami i półksiężycami wyszytymi złotą nicią na całej powierzchni. Również kapelusz, wysoki i szpiczasty, był ozdobiony w ten sam sposób.

Miała więc przed sobą jednego z pradawnych magów, którzy zamknięci w swoich samotniach, w oddaleniu od spraw świata, zgłębiają tajemnice mądrości. Aż do wczoraj nie sądziła, że mogą oni okazać się czymś więcej niż tylko legendą. Jeszcze podczas wspinaczki nachodziła ją czasami myśl, że na szczycie góry nie znajdzie niczego oprócz nagiej skały. A jednak okazało się, że starożytne zgromadzenie przetrwało przynajmniej w osobie stojącego parę metrów od niej starca.

Niespodziewanie mag uśmiechnął się leciutko i pierwszy przerwał milczenie:

– A więc dotarłaś aż tutaj. Do drzwi mojego domu.

– Tak, panie – odparła kobieta nieco drżącym głosem. – Dotarłam. Ale jeśli zakłóciłam twój spokój...

Starzec uniósł gwałtownym ruchem prawą dłoń, ucinając jej wypowiedź. Przez chwilę panowała między nimi cisza. Wreszcie mag znów się odezwał, tym razem z jeszcze większą łagodnością:

– Pamiętaj, córko, że wiem o wszystkim, co dzieje się w dole. Wiem doskonale, że mnie szukałaś. A ty wiedz, że gdybym nie życzył sobie twojej obecności, nigdy nie odnalazłabyś mojej wieży.

Na widok zdumienia w jej wzroku dokończył:

– Nie wszyscy, którzy tu docierają, widzą wieżę. Używając magicznych mocy, ukryłem siebie i swój dom przed oczami niegodnych. Tylko ci, którzy naprawdę potrzebują mojej sztuki, dostrzegą prawdziwy obraz rzeczy.

Wielkim wysiłkiem pohamowała cisnące się do oczu łzy. „Tylko ci, którzy naprawdę potrzebują mojej sztuki...” Nie zdawała sobie do tej chwili sprawy, jak wielkie były jej potrzeby i jak głęboka rozpacz. Ludzie, z którymi żyła, nie dbali o jej uczucia. Kazano jej się tylko poświęcać, a jeśli cierpiała, nazywano ją egoistką.

– Jak ci na imię, dziecko?

– Tarina, panie.

– Dobrze, Tarino. Ja też miałem kiedyś imię, ale teraz zwań mnie po prostu Czarodziejem z Wysokiej Góry.

Wpatrywali się w siebie nawzajem jeszcze przez parę chwil. A potem Tarina, walcząc z własną słabością, której nigdy nie lubiła pokazywać, wydusiła wreszcie z siebie słowa, które kołatały się jej po głowie przez całą drogę:

– Jeśli możesz mi pomóc... Pomóż mi, panie, błagam cię. Zamień znów mrok w światło.

– Pójdź ze mną, córko, a zaradzimy coś na twoją dolegliwość.

Odwrócił się i skierował ku schodom. Tarina szła posłusznie za nim, myśląc

o tym, jak uda jej się pokonać strome stopnie. Na ogół nie odczuwała lęku wysokości, lecz teraz rozogniona wyobraźnia wciąż podsuwała jej obraz upadku i śmierci.

Czarodziej musiał odczytać jej nastrój, bo znów na nią spojrzął i powiedział:

– Poradzisz sobie. Jesteś młoda i sprawna. Pomyśl o mnie, starym, pokonującym te schody kilka razy w ciągu każdego dnia. Nie patrz tylko w dół, a nie będzie ci się wydawało, że spadasz.

Spróbowała więc zastosować się do jego rady. Wyobraziła sobie, że wchodzi po szerokich, otoczonych balustradą stopniach domu, w którym mieszkała jej rodzina. Po obu stronach kwitły w kamiennych donicach bratki i pelargonie, i nie otwierała się żadna przepaść. *Jestem bezpieczna, jestem bezpieczna*, powtarzała sobie w duchu. I chyba rzeczywiście była. Czarodziej nie sprowadziłby jej z tak daleka tylko po to, by teraz pozwolić jej się zabić.

– Do tego można przywyknąć – dodał jeszcze starzec. – Gdybyś trochę z nami pomieszkała, też przestałabyś zauważać tę niedogodność.

Dotarli wreszcie do długiego podestu przed drzwiami. Otwierały się one do wnętrza budowli i nie miały żadnych zasuw ani zamków. W miejscu takim jak to, gdzie dodatkowo działała magia, żadne zabezpieczenia nie były potrzebne. Czarodziej nacisnął klamkę i pierwszy przekroczył próg. Tarina podążyła za nim. Próbowwała zamknąć za sobą ciężkie skrzydło, lecz gwałtowny przeciąg wyrwał je z rąk kobiety. Drzwi uderzyły w futrynę, powodując niemiłosierny hałas.

– Och, nie przejmuj się tym – natychmiast odezwał się beztroskim tonem Czarodziej. – Czasami zdarza się to nawet mnie. Gdybyśmy chcieli zadręczać się każdym drobnym niepowodzeniem, brakłoby nam czasu na rozwiązywanie prawdziwych problemów.

Zapraszającym gestem potoczył dłonią po pomieszczeniu, w którym się znaleźli.

– Chodźmy więc do mojego gabinetu. Tam będziemy mogli w spokoju porozmawiać. Ale najpierw musisz poznać moich uczniów.

* * *

Okazało się, że wewnątrz wieży zostało podzielone na kilka kondygnacji. Na każdym piętrze znajdowała się tylko jedna duża, zajmująca niemal cały przekrój budynku komnata. We wszystkich stropach pozostawiono otwory, przez które prowadziły na górę kręte schody z ciemnego drewna, również bez poręczy. Groźne upadki mogły więc przydarzać się zamieszkującym ten przybytek niemal bez przerwy, o ile nie byli wystarczająco uważni. W tym miejscu, wbrew pozorom, nie należało chodzić z głową w chmurach.

Tarina spodziewała się, że komnaty uczniów będą znajdować się na szczycie, a dolne pomieszczenia, do których dojście nie wymagało tak wiele trudu, Czarodziej zarezerwował dla siebie. Szybko przekonała się, jak bardzo się pomyliła.

– Na samej górze mam pokój do pracy, a niżej sypialnię – odezwał się, kiedy rozpoczynali wspinaczkę. – Jeśli zgodzisz się mi towarzyszyć, pokażę ci urządzenia, jakich nigdy do tej pory nie widziałaś.

– Powiedziałam, że pójdę z tobą, panie, lecz obiecaj, że mnie wysłuchasz – odparła cicho Tarina.

– Wszystko będzie miało swój czas, moja córko – uśmiechnął się pod wąsem z jakąś dobroduszną przebiegłością. – Twoja opowieść musi jeszcze trochę dojrzeć, zanim zdecydujemy się zerwać ten owoc.

Patrzyła więc, jak Czarodziej bez najmniejszego kłopotu pokonuje kolejne stopnie, nie dostając nawet zadyszki. Jego siły zdawały się być niespożyte, chociaż jeszcze niedawno uskarżał się na swoją starość. Ale chyba była to tylko i wyłącznie kurtuazja. Zdjął szpiczaste nakrycie głowy, by nie szorować nim o spód wyższych partii schodów, i teraz niósł je w dłoni. Kobieta pomyślała, że mag wygląda bez kapelusza mniej dostojnie, ale za to bardziej ludzko.

Zatrzymał się dwukrotnie, na pierwszej i drugiej kondygnacji, i uderzał kilka razy kołatką w masywne drzwi.

– Przyjdź zaraz do mojego gabinetu! Mamy gościa! – wołał, i nie czekając na odzew, znów piał się pod górę. Tarinie zdawało się, że słyszała za tymi drzwiami jakieś poruszenia, a może nawet głosy. Nie potrafiła rozpoznać, do kogo mogły należeć. Starzec nie powiedział wszak wyraźnie, że jego uczniowie są ludźmi. Wzdrygnęła się gwałtownie, przypomniawszy sobie, ile dziwacznych ras zamieszkuje kontynent. Na wszelki wypadek wołała nie spoglądać za siebie, chociaż wiedziała, że nie uda jej się długo odwlekać tego spotkania.

Pod koniec wędrówki nie była już pewna, ile pięter minęli. Musiało ich być siedem albo osiem. Próbowwała je wprawdzie liczyć, lecz przeszkadzał jej w tym pogodny monolog Czarodzieja, który pokrótce objaśniał funkcję każdej z komnat.

Dotarli w końcu do pomieszczenia na samej górze – wyżej był już tylko taras widokowy. Wychodziło się tam przez klapę w suficie, która była akurat zatrzaśnięta. Mag przeskoczył zwinnie ze schodów na kamienną posadzkę korytarza i z przesadną uprzejmością otworzył przed kobietą drzwi gabinetu.

– Czym chata bogata. Zapraszam w moje skromne progi, droga pani.

Tarina znalazła się nagle w cudownym świecie. Przyćmione światło wieczoru wpadało do środka przez dwa małe okna w półokrągłej ścianie, spowijając każdą rzecz subtelnym półcieniem. Na podłodze leżał puszysty dywan, tłumiący dźwięk kroków. W całym pomieszczeniu, na stolikach, na półkach, a nawet wprost na podłodze poustawiano tajemnicze instrumenty, wykonane z wielką precyzją ze szlachetnych stopów i najczystszej szkła. Musiały one służyć do uprawiania sztuki magicznej, a może zbudowano je na potrzeby nauki tak zaawansowanej, że w oczach laików stawała się magią. Oprócz tych cudów geniuszu w komnacie znajdowało się duże biurko, na którym panował twórczy nieporządek, kilka wygodnych foteli oraz regały z półkami w całości wypełnionymi cennymi księgami i manuskryptami.

Targnął nią nagły żal. Jej własne życie miało upływać wśród podobnych przedmiotów, dopóki świat nie zdecydował, że jej przeznaczenie będzie jednak inne.

Ostrożnie podeszła do biurka i niemal pieszczotliwie dotknęła ozdobnego kałammarza. W swoich łachmanach poczuła się nagle jak żebraczka w tym wspaniałym przybytku mądrości.

– Zbyt wiele łaski, panie – szepnęła w zmieszaniu. – Kim ja jestem, by oglądać takie skarby?

– Nie jesteś mniejsza ode mnie, Tarino – odrzekł poważnie, patrząc jej prosto w oczy. – Tylko ścieżki losu zawiodły cię w inne miejsce. No – wrócił do swojego pogodnego tonu – dajmy tu trochę światła.

Dotknął lekko małej płytki w ścianie, co spowodowało, że ozdobny kandelabr pod sufitem rozjarzył się mocnym blaskiem. Na pewno nie było to światło świec.

Następnie przeszedł przez całą szerokość pomieszczenia i pogładził ramę dużego okrągłego zwierciadła, stojącego tuż pod ścianą.

– To urządzenie jest moim najulubieńszym i najbardziej potrzebnym. Podejdź tu, Tarino, a przekonasz się, jak działa.

Dołączyła więc do niego i zaczęła przyglądać się przedmiotowi, w którym na pozór nie było niczego szczególnego. Rama i stojak były wprawdzie wykonane z czystego srebra i pięknie inkrustowane szlachetnymi kamieniami, lecz niezwykłość tego zwierciadła musiała dalece wykraczać poza jego handlową wartość. Inaczej Czarodziej nie byłby nim tak bardzo zachwycony.

– Czym ono jest, panie? – spytała.

– Popatrz.

Przeciągnął parę razy pomarszczoną dłońią przed szklaną taflą, czyniąc przy tym palcami dziwne znaki i szepcząc słowa w jakimś nieznanym języku. Widok w zwierciadle natychmiast się zmienił. Do tej pory odbijało ono wnętrze komnaty i twarze dwojga stojących przed nim ludzi. Teraz w jego głębi przesuwwały się jakieś ruchome obrazy, które trudno było rozpoznać z powodu wielkiego oddalenia. Czarodziej jeszcze raz więc nakreślił znaki i obraz zaczął się przybliżać. Wkrótce Tarina widziała już jakieś miasto z jego placami, ulicami i domami, a także mieszkańców, wykonujących skrupulatnie swoje codzienne czynności.

Przypominało to ulubioną zabawę jej ludu, tyle że ta opowieść rozgrywała się w kompletnej ciszy.

Wkrótce uległo to jednak zmianie. Obraz przybliżył się jeszcze bardziej i teraz skupiał się na pojedynczej osobie. Czarodziej wybrał tym razem małego chłopca, dokazującego wraz z towarzyszami zabaw przed jakąś karczmą. Tarina mogła już słyszeć prowadzone przez nich i wokół nich rozmowy. Wiedziała, że język, w jakim się odbywają, jest dla niej obcy, lecz mimo to rozumiała każde słowo. Potem do rozmów przyłączył się jeszcze jeden głos, głęboki i jednocześnie piskliwy, jakby brzęczenie w tle. Nakładał się on na pozostałe głosy, pozornie ich nie zauważając, a czasami milkł na dłuższą chwilę. W końcu Tarina pojęła, że słyszy myśli chłopca. Odkrycie to wywołało u niej tak wielki wstrząs, że długo nie była w stanie się odezwać. Stała jedynie przed zwierciadłem i przysłuchiwała się lękliwie temu, co powinno pozostać święte i zakryte przed całą resztą świata.

– Widzisz więc – rzekł Czarodziej – jak daleko sięga moc tego wynalazku. Jeśli tylko zechcę, nikomu nie uda się mieć przede mną tajemnic. Mogę poznać najtajniejsze głębie serca każdej istoty na kontynencie. Czasami nawet mogę pomóc w niedoli, bo potrafię o wiele więcej niż tylko podglądać, moja Tarino. W ten właśnie sposób wypatrzyłem ciebie. A potem wiedziałem już, że do mnie przyjdiesz. Obserwowałem twoją wędrówkę i byłem gotów w każdej chwili wysłać ci pomoc.

Spojrzała na niego z jeszcze większym lękiem, natychmiast więc uspokoił ją jednym ze swoich łagodnych uśmiechów.

– Nie bój się – powiedział. – To zwierciadło daje mi ogromną władzę, lecz używam jej tylko w najszlachetniejszy z możliwych sposobów. Mogę usłyszeć także myśli królów i rządzących państwami, mogę poznać ich prawdziwe zamiary i zmienić bieg historii świata, lecz nigdy nie próbuję tej sztuki. Kimże jestem, by poczynać sobie tak śmiało?

Kobieta nie zdążyła odpowiedzieć, bo na schodach rozległ się mocny tupot stóp, najpierw odległy, a potem bardzo bliski. Brzmiało to tak, jakby ktoś ogrom-

nie się spieszył i przeskakiwał po dwa stopnie na raz. Drzwi do komnaty otworzyły się, pchnięte niecierpliwym ramieniem, i stanął w nich młody, może trzy-nastoletni chłopak. Z całą pewnością należący do ludzkiej rasy.

– Wzywałeś mnie, mistrzu, więc jestem – zaczął, chwytając łapczywie oddech po biegu.

Czarodziej odwrócił się i popatrzył na niego wzrokiem, w którym była przygana, ale też coś na kształt rozbawienia.

– Nareszcie – zaczął rubasznym głosem. – Już myślałem, że oboje zasnęliście jak kamienie. Tarino, pozwól, że ci przedstawię. To jest Keran z miasta Yler. Keran od trzech lat pobiera ode mnie nauki. Chłopcze, to jest Tarina. Szuka w wieży zapomnienia. Chcę, żebyś przyjął ją z najwyższymi honorami.

– Stanie się więc zgodnie z twoim życzeniem, mistrzu – bąknął uczeń, pospiesznie składając kobiecie grzeczny ukłon. Tarina nie była pewna, czy wypada jej odkłaniać się komuś tak młodemu, więc tylko skinęła lekko głową w jego kierunku. To najwyraźniej wystarczyło, bo usta Kerana ozdobił szeroki uśmiech. Pod wejrzeniem pięknej kobiety młodzik szybko spuścił wzrok i spłonął delikatnym rumieńcem.

– Keran jest synem bogatego człowieka – mówił dalej mag do Tariny, jakby chłopca nie było w komnacie. – Gdyby został w domu, pewnego dnia odziedziczyłby przypadającą na niego część majątku. Ojciec zapisałby mu ziemie i któryś ze swoich dobrze prosperujących interesów. Ale ten chłopak wolał poświęcić się zdobywaniu mądrości i posiąść kiedyś moc równą mojej. Czy nie tak, Keranie?

– Tak jest, mistrzu. Twoja potęga jest warta stokroć więcej od wszystkich posiadłości mojego ojca. Odkąd dowiedziałem się o sztuce, którą uprawiasz, nie mogłem zasnąć, dopóki nie stanąłem na progu twego domu.

– Sama więc widzisz – w głosie starca wymieszały się wzruszenie i duma. – Byłoby okrucieństwem z mojej strony odsyłać to dziecko do rodziców. Ale hola, hola! – ożywił się nagle. – Gdzie podziewa się Oana? Czyżby toaleta zajmowała jej tak wiele czasu?

Teraz dopiero Tarina zwróciła uwagę na słowo, którego użył Czarodziej. *Oboje*. A więc uczył dziewczynę?

– Mogę po nią pójść – zaofiarował się Keran.

– Nie, nie trzeba – odparł mędrzec. – Chyba słyszę na schodach jej kroki.

I zwracając się do Tariny, dodał:

– Niewprawne ucho nie usłyszy zbliżającej się Oany. Na szczęście moje zmysły są wyostrzone jak jeden z jej noży.

Drzwi ponownie się otwały, tym razem delikatnie, i do komnaty wsunęła się miękko młoda kobieta.

– A oto i Oana! – zawołał na jej widok wesoło Czarodziej. – A więc teraz jesteśmy już w komplecie. Poznajcie się, drogie panie. Tarino, to jest Oana z Jodłowej Puszczy. Oano, to jest Tarina. Przyszła do mnie, jak już wspominałem, po zapomnienie.

Tarina nie mogła oderwać spojrzenia od tamtej kobiety. Oana była wysoka, dużo wyższa od niej samej, i niezwykle piękna. Nawet po najdokładniejszych oględzinach nie dałoby się znaleźć na jej doskonałej urodzie najmniejszej skazy. Długa do stóp suknia w kolorze jasnego beżu spowijała łagodnie smukłe ciało, a z szerokich, przypominających skrzydła ptaka rękawów wychylały się jasne przedramiona. Gęste włosy, ozdobione kilkoma cienkimi warkoczykami, opadały swobodnie na królewskie plecy, a szare oczy spoglądały śmiało i poważnie zarazem. Piękne, różowe wargi nie były ani zbyt pełne, ani zbyt wąskie. Dekolt sukni wykończony był drobną koronką, przez którą przezierał kawałek jędrnych piersi.

A potem Tarina dostrzegła coś, co niemal odebrało jej oddech. Małe uszy, których Oana nie próbowała zakrywać, kończyły się trójkątnymi szpicami. Ta dziewczyna nie należała do rasy ludzkiej. I tak Tarina po raz pierwszy w życiu stanęła oko w oko z elfem.

Oana dygnęła wdzięcznie, nisko kłaniając się przybyłej. Na cudownych ustach przez chwilę gościł delikatny uśmiech. Tarina natychmiast zwróciła hołd, mając przy tym przemożne uczucie, że to, co się dzieje, jest absolutnie niedopuszcza-

lne. Najzwyklejsza w świecie kobieta przyjmowała głęboki ukłon od elfa, wobec którego była niczym.

– Oana pochodzi z Jodłowej Puszczy – przerwał ciszę Czarodziej, który jako jedyny z tej czwórki nie czuł się ani trochę zawstydzony. – Wiesz, gdzie leży Jodłowa Puszcza, Tarino? Na granicy naszego królestwa, u podnóża łańcucha Gór Szarych. Należy w całości do elfów, a przedstawiciele innych ras mogą odwiedzać to miejsce tylko za wyraźnym pozwoleniem ich króla. U elfów z Jodłowej Puszczy kobiety nie mają wiele do powiedzenia. Opiekują się potomstwem i strzegą ogniska domowego. Nie wolno im się uczyć i nie mogą rządzić. Większość elfickich plemion stosuje zresztą takie zasady. Aby uniknąć odwiecznego losu kobiety, Oana postanowiła zostać magiczką. Nie ma już dla niej drogi powrotnej. Łucznicy plemienia zabiliby ją na miejscu za złamanie tradycji i bratanie się z ludźmi.

A mimo to odważyłaś się?, miała chęć zapytać Tarina. Postępek elfki budził w niej zarazem podziw, jak i głęboki niepokój.

– To był mój wybór – odezwała się Oana, jakby czytając w myślach ludzkiej kobiety. – Niczego nie żałuję i niczego nie zmieniałabym.

Jej głos też był cudowny, aksamitny i dźwięczny zarazem.

– Możesz spytać Oanę o każdą rzecz i dostaniesz odpowiedź – odezwał się mag. – Tylko nigdy nie pytaj jej o wiek. Ja na samym początku popełniłem ten błąd. Powiedziała mi prawdę, bo ona nie potrafi kłamać. Trudno w to uwierzyć, ale jest starsza ode mnie – zachichotał jak psotny uczeń, a na usta Kerana wpłynął na krótko szelmowski grymas. – Długo musiałem potem odzwyczajając się od natrętnego obrazu zgrzybiałej staruszki.

Każde dziecko w królestwie wiedziało, że elfy są nieśmiertelne. Z tej przyczyny ich natura tak dalece różniła się od ludzkiej, że wszelkie porozumienie stawało się niemożliwe. Obie rasy żyły więc obok siebie, a nie razem, tworząc osobne kultury i systemy wartości. Więcej wspólnego miała ludzkość z obrzydliwymi orkami albo trzypłciowymi tharnami, których życie także miało swój kres, niż z tą chodzącą doskonałością. Doskonałością cielesną, bo psychika elfów

bywała równie skomplikowana jak ludzka.

– Nie jestem stara, mistrzu, i jeszcze długo nie będę – odparła Oana, poprawiając jakiś krzywo stojący instrument. – Ale także ja poczuję kiedyś wielkie znużenie, gdy zobaczę już zbyt wiele wschodów słońca. Zapragnę wtedy wrócić do Domu Początku, gdzie dusze elfów nabierają sił przed dalszą wędrówką.

I wtedy Tarina zdała sobie sprawę bardzo wyraźnie, najwyraźniej od początku tej przygody, że ona sama nie jest już młodziutką dziewczyną. Przestała nią być ładnych parę lat temu, a w chwili obecnej stała na progu wieku średniego. Wprawdzie jej ciało nie straciło jeszcze dziewczęcego powabu, lecz pomiędzy czarnymi pasmami prześwitywała już gdzieś srebna nitka, a skóra nie była tak doskonała jak u młódki. A potem zdała sobie sprawę jeszcze z tego, że tamci troje – a na pewno starzec i elfka – również doskonale wiedzą, jak wiele razy obróciło się koło jej życia.

Nagle w komnacie rozległo się głośnie buczenie. Dobywało się ono z urządzenia przymocowanego na ścianie pomiędzy oknami na wysokości ludzkiej głowy. Aparat miał kształt płaskiej płyty wykonanej z jakiegoś czarnego materiału. Od jej górnej krawędzi odchodził pęk przewodów, które poprzez otwór w suficie wydostawały się na zewnątrz budynku. Co dziwniejsze, przewody były całkiem przezroczyste, jakby zrobione ze giętkiego szkła. W ich wnętrzu rozbłyskiwały raz po raz świetlne impulsy o różnej długości i mocy, dziwnie zsynchronizowane z tajemniczym dźwiękiem.

Zaraz potem płyta rozjarzyła się ognistymi literami, które pojawiały się i natychmiast znikwały. Pochodziły one z nieznanego Tarinie alfabetu i miały piękny, delikatny krój. Wszyscy czworo już dawno zwrócili głowy w tamtym kierunku, a rozmowa umilkła. Czarodziej bezgłośnie układał wargi w kształt odczytywanych sylab, a kiedy wiadomość dobiegła końca, zawołał:

– O-o-o-ch! Nigdy bym się nie spodziewał...

Wołanie to zabrzmiało przeciągle i rozpaczliwie zarazem, jakby mędrzec nie potrafił w coś uwierzyć lub z czymś się pogodzić. I skończyło się równie nagle,

jak się zaczęło. Tarina nigdy nie poznałaby treści przekazu, gdyby nie Oana, która także odczytała znaki.

– Tarkmenia wypowiedziała Dagonom wojnę. Jakąś godzinę temu. Wygląda na to, że tym razem na poważnie – odezwała się cicho. – Najpóźniej jutro ich wojska wkroczą na terytorium sąsiada.

A po krótkiej chwili dodała:

– Matka naszego mistrza była Dagonką. Na zawsze zostawił tam część swojego serca. On też był kiedyś...

Urwała, jakby nie była pewna, czy nie urazi Czarodzieja tym mówieniem o nim, lecz nie do niego. Ale Tarina domyśliła się ciągu dalszego.

...tylko człowiekiem. Zwyczajnym człowiekiem. Małym chłopcem, buszującym po leśnych ostępach w krainie młodości matki. Nie wszechwiedzącym magiem, należącym do wszystkich ziem po trochu i do żadnej w pełni. Nie kimś tak dostojnym, że onieśmiał samą swoją obecnością.

Na szczęście oba te kraje leżały daleko od jej ojczyzny. Niebezpieczeństwo pozostawało więc na razie tam, na zachodzie. A tutaj, na Wysoką Górę, nie miało prawa dotrzeć nic ze zgiełku świata, nic poza tym, co zostawało na chwilę wpu-szczone.

– Wiele na to wskazywało – pierwsza przerwała ciszę. – Wieści już od dawna były niepokojące, więc w końcu...

– Nic to – przerwał Czarodziej, ocknąwszy się z zadumy. – Co się stało, to się nie odstanie. Tarkmenia i Dagomar to nie nasza sprawa. Nie psujmy sobie tak pięknego dnia z ich powodu. Wkrótce zajmę się także nimi, ale teraz chciałbym pokazać ci, Tarino, coś jeszcze ważniejszego od tamtego zwierciadła. W tym celu musimy wyjść na taras. Może wystarczy nam dziennego światła. Jeśli nie, Keran weźmie lampę.

Wspiął się pierwszy po krętych stopniach na samą górę, odsunął zasuwę klapy i naparł na nią mocnym ramieniem. Ta odskoczyła natychmiast, a do środka wdarł się zimny, wieczorny wiatr. Tarina żałowała, że nie wzięła ze sobą w pod-

róż płaszcza. A teraz wstyd jej było prosić tych ludzi – te istoty – o jakieś ciepłe okrycie. Więc szcękając ukradkowo zębami, ruszyła za starcem i już wkrótce stała na szerokim drewnianym podeście. Tuż za nią wydostała się z wieży Oana, a pochód zamykał chłopak.

Niebo wciąż było szczelnie zakryte chmurami, z których na szczęście nie padało. Zmierzchało już, lecz kontury przedmiotów były wciąż wyraźne. Taras był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku urządzeń, stojących tuż przy balustradzie. To właśnie ku nim kroczył powoli Czarodziej i tam też skierowała się reszta grupy.

– Pokaż jej, Oano – odezwał się zwięźle mag, nie bawiąc się na razie w żadne wyjaśnienia.

Elfka ujęła więc w szczupłe dłonie coś, co przypominało wielki reflektor na stojaku, i precyzyjnie wycelowwała go w jeden z punktów na horyzoncie, na pozór niczym nie różniący się od pozostałych. Pomogły jej w tym drobne rowki różnej długości i głębokości, wycięte na krawędzi czaszy i opatrzone znakami w tym samym tajemniczym języku, który przed paroma chwilami rozbłysnął na płycie. Tarina patrzyła więc zadziwiona, jak uczennica Czarodzieja swobodnie manipuluje ciężkim aparatem, jak krąży wokół niego z wielką powagą i koryguje ustawienie o dziesiąte części stopnia, nie chcąc popełnić nawet najmniejszego błędu. Ale może elfy z natury dysponowały większą siłą fizyczną niż ludzie. Lub przy tym zajęciu niepotrzebny był duży wysiłek.

Wreszcie Oana powiedziała:

– Myślę, że tak będzie dobrze.

Czarodziej skinął głową i odparł:

– Więc wyślij im krótką wiadomość.

Dziewczyna nacisnęła kilka razy lewą dłońią duży i jedyny przycisk, umieszczony z tyłu reflektora. Robiła to w ściśle odmierzonej rytmie, raz przytrzymując krócej, to znów dłużej. W tym samym momencie grube szkło, z którego wykonano główną część urządzenia, zabłysło kilka razy ostrym, białym światłem, dokładnie w tempie podanym przez elfkę. Pokaz skończył się bardzo szybko

i znów zapanowała ciemność, głębsza niż przed paroma minutami.

– Wiesz, co my tutaj robimy? – Czarodziej zwrócił się wprost do Tariny. – Wiesz, do czego służy ten nadajnik? Nie wiesz – stwierdził, gdy kobieta pokręciła lekko głową. – My się tutaj, droga Tarino, zajmujemy czymś więcej niż tylko bezproduktywnym zgłębianiem wiedzy. Za pomocą tego czegoś – położył pomarszczoną dłoń na urządzeniu – mogę nadać dowolną wiadomość, która zostanie odczytana przez maga stacjonującego w wieży na innej górze, przez okolicznych mieszkańców nazywanej Pennar. A on przekaze to dalej, jeśli wiadomość jest warta przekazania. W ten sposób wieści z tego miejsca mogą błyskawicznie dotrzeć do niemal każdego skrawka kontynentu. Między innymi stąd bierze się moja rozległa znajomość spraw świata, który z własnej woli opuściłem.

Przeszedł kilka kroków i wyciągnął ramię dla odmiany w kierunku południowym.

– Tam też mogę wysłać wiadomość – powiedział. – Zostanie ona odebrana przez magiczkę ze szczytu Lonan. I na tym kończą się niestety moje możliwości. Światło, które wytwarzamy, nie jest zbyt mocne i nie dociera daleko. Takie wieże jak ta odgrywają we współczesnym świecie rolę, której wy, mieszkańcy dolin, nawet się nie domyślacie, i są przez nas nazywane wieżami kontaktowymi.

Urwał na chwilę, aby Tarina mogła odpowiednio przyswoić tę wypowiedzianą uroczystym głosem nazwę. A potem dodał, znacznie weselej:

– Teraz na przykład Oana poinformowała resztę świata, że pewna urocza kobieta o imieniu Tarina postanowiła nareszcie zatroszczyć się o samą siebie. Nie, nie, oczywiście żartuję. Nikomu o tobie nie powiemy. Te sygnały znaczyły po prostu „u nas nic nowego, życzymy miłej nocy”. I tyle.

Wrócił do pozostałych i zajął się drugim z aparatów, do tej pory ignorowanym. Był on nieco podobny do tamtego, lecz zamiast reflektora posiadał okrągłą, lustrzaną powierzchnię o perłowym połysku, którą można było nakierować na dowolny fragment horyzontu, a także swobodnie obracać wokół poziomej osi.

Z dolnej części tafli wychodził pęk przejrzystych przewodów, które ciągnęły się kawałek po podeście, a następnie znikwały w podłodze. Tarina domyśliła się, że są to te same kable, które już raz widziała w gabinecie starca, te same, którymi przepłynęła zaszyfrowana wiadomość o wojnie.

– A to jest odbiornik – powiedział. – Zwykle ustawiamy go w ten sposób.

Wyregulował oś obrotu tak, by równoległe lustrzane powierzchnie zwrócone były dokładnie w kierunku północnym i południowym. Wskazując dłonią na jedną z tafli, mówił dalej:

– Z tej strony docierają do nas informacje z góry Pennar. A tędy – wskazał na drugą powierzchnię – z góry Lonan, niemal dokładnie u stóp której leży Jodłowa Puszcza. Oana ma więc wieści z ojczyzny, gdy tylko zechce. Jeśli jedno z nas dwojga akurat nie śpi i jest w pokoju na górze, odbieramy wiadomość od razu. Jeśli jest inaczej, możemy ją odtworzyć i odczytać później. Keran jeszcze nie potrafi tej sztuki i na razie nie chcę, by obsługiwał system.

Usta chłopaka wygięły się w grymasie niezadowolenia, który szybko zniknął. Najwyraźniej młody terminator uważał, by nie pozwolić sobie na zuchwałość w stosunku do mistrza.

– Powinniśmy wrócić do komnaty – odezwał się wreszcie Czarodziej. – Zapadła już noc i tu, na górze, w tych podmuchach wiatru, jest bardzo zimno. Poza tym nasz gość na pewno chce się wreszcie położyć.

Wrócili więc na dół tą samą drogą, którą przyszli. Starzec schodził ostatni i starannie zarygłował klapę.

– A więc znasz już największy sekret wieży kontaktowej – powiedział, kładąc rękę na ramieniu Tariny. – Tajemnicę, za którą wielu rządzących byłoby w stanie zabić, choć w niektórych państwach macie już te nowoczesne urządzenia do przekazywania wiadomości. Kiedy wrócisz do domu, postaraj się zapomnieć o nadajniku.

– Spróbuję, panie – szepnęła, chociaż doskonale wiedziała, że nigdy nie zapomni.

– Trzymam cię za słowo. Jest już bardzo późno, więc powinniśmy wszyscy udać się na spoczynek. Mamy tutaj pokój gościnny na piątym piętrze, zaraz pod moją sypialnią. W tej chwili jest oczywiście do twojej dyspozycji, droga Tarino. Oana cię tam zaprowadzi i zaopatrzy we wszystko, czego tylko sobie zażyczysz. A więc do jutra, mili przyjaciele.

Kiedy elfka zamykała za nią drzwi elegancko urządzonej komnaty, Tarina pomyślała, że Czarodziej chyba zapomniał o jej najważniejszej prośbie. Ale może nie zapomniał. Powiedział przecież, że wszystko musi mieć swój czas. Poza tym... uzdrowienie już się częściowo dokonało. Bo od dawna już w jej sercu nie narosła taka fala szczęścia jak tego dziwnego wieczoru.

c.d.n.